

OPLATA POCZTOWA UISZCZONA RYCZAŁTEM

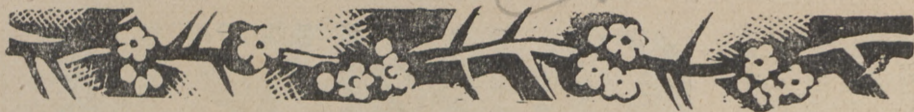
WARSZAWA, ŚRODA 19 PAŹDZIERNIKA 1932 ROKU Nr. 7

PŁOMYK

TYGODNIK ILLUSTROWANY
DIA DZIECI I MŁODZIEŻY



TRZCINY



OBJAŚNIENIE DO PRZEDSTAWIENIA „DUŻO ŚMIECHU”.

Wszystkie podane w tem przedstawieniu obrazki sceniczne, deklamacje, tańce wymagają trzech dekoracyj, zmieniających się odpowiednio do treści. Jedna dekoracja to łąka, z lasem lub wsią w odległości. Druga — to wnętrze, pokój. Trzecia — ulica. Łąka będzie potrzebna do następujących części przedstawienia: „Zuchy”, „Znalezione”, „Mazur”, „Oberek”.

Wnętrze potrzebne do następujących: „W naszym domku”, „Gapuś”, „Pawluś”, „Tańcowała Rzepa z Makiem” (może być i na łące), „Wróżba”, „Pan Księżyc”.

Ulica — do: „Na ulicy”, „Jabluska”. Jakże tu zrobić, żeby można było prędko dekoracje zmienić? Oto zrobimy tak: niebo zrobić ze sklejonych arkuszy błękitnego papieru. Gdyby się znalazła jakaś błękitna firanka, byłoby jeszcze lepiej. Na takim tle nakleić (jeżeli na firance — przypiąć) pas łąki, a wyżej albo granatową smugę lasu, albo widok wsi. Do obrazku „Zuchy” trzeba by dodać, bliżej widzów parę krzaków malowanych, lub też parę prawdziwych choinek.

Wyklejoną dekorację przybijamy na ścianie w głębi sceny, a o jakie dziesięć cm. przed nią przeciągamy sznurek z firanką na kółkach. Firanka może być biała, szara lub jakakolwiek wreszcie. Wtedy, gdy będzie potrzebne wnętrze, zasuwamy firankę, zasłaniając w ten sposób widok. Zmiana dekoracji da się więc zrobić bardzo szybko. Ustawienie lub przestawienie kilku krzesel, stolika, półki nie zajmie też wiele czasu.

Ulicę, która będzie potrzebna do obrazka „Na ulicy” i obr. „Jabluska”, urządzimy w następujący sposób: na firance, czy ścianie, stanowiącej tło do wnętrza, przybijemy, wymalowane na kartonie czy tekturze, okna. Dobrzeby było postawić latarnię, też wymalowaną i przybitą do drążka na podstawie. Okna można dać dwa, jakby na parterze, a nad nimi jeszcze dwa, jakby na pierwszym piętrze.

A teraz musimy obmyślić, jak ubrać wszystkie występujące w tem widowisku postacie. A zatem:

WESOLEK — ubranie pajaca. Zrobić je można w różny sposób, wedle gustu. Jeżeli nie możemy mieć takiego ubrania z materiału (np: dwie połowy w różnych barwach), to zużytkujemy zwykle bluzki i spodniki, na których, z kolorowych, złotych i srebrnych papierów naszywamy zęby, koła, kwadraty i t. p. Czapkę spiczastą można zrobić też z kolorowego papieru, z białej bibuły dużą krezę i obszycia u rękawów i spodenek. Można też dodać i dzwoneczki.

ZABKA — całe ubranie zielone z jasnożółtym przodem. Czapka przylegająca do głowy, z dużym daszkiem. Zielone rękawice o przedłużonych palcach i także stopy. Kąty ust podmalować, wydłużając je znacznie. Oczy otoczyć obwódką brązową, żeby im nadać charakter dużych oczu żaby.

„Jabluska”. **CHŁOPIEC** — zwykle, miejskie lub wiejskie ubranie. **DWIE OSY** — sukienki z bibuły w szerokie czarne i żółte pasy. Skrzydełka zwisające, wycięte z kartonu i podklejone białą bibułą angielską. Opaski na głowach z dwoma różkami.

„Na ulicy”. **DZIECI-SPRZEDAWCY** — zwykle miejskie ubranie.

„W naszym domku”. **TROJE DZIECI** — zwykle ubrania, pożądane jakies jasne, kolorowe.

„Zuchy”. **STAŚ I JAŚ** — zwykle ubrania, bluzki, krótkie spodniki, skarpetki, czapki albo kapelusze letnie.



PŁOMYK

TYGODNIK · ILUSTROWANY
DLA · DZIECI · I · MŁODZIEŻY

PAŹDZIERNIKOWE SŁONKO.

Październikowe słonko zagląda do ogrodu:

— *Ojej! jakże tu pełno nieprzyjemnego chłodu!
Zwarzyły się ostatnie na grządkach astrów płatki,
trzeba czempędzej ogrzać te biedne, zziębłe kwiatki!*

Październikowe słonko ma dobrych chęci wiele.

*Mocuje się z chmurzyskiem, co się po niebie ściele,
uderza, jak potrafi, złocistą swoją strzałą...*

Patrzącie! z czarnej chmury już nic nie pozostało!

Październikowe słonko uśmiecha się, radosne:

— *Nie jestem wprawdzie takie gorące, jak na wiosnę,
ale i tak przyjemnie, gdy uśmiech mój zaświeci
w ogródku koło chaty... Czy nie mam racji, dzieci?*

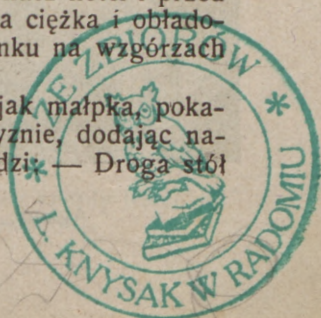
HELENA DUNINÓWNA.

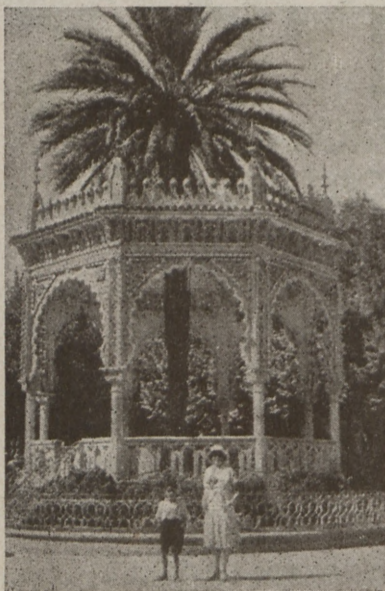
PRZEŁĘCZ „CHIFFA” — KRAINA MAŁP.

Wpobliżu Algeru w północnej Afryce, na stokach gór Atlasu, znajduje się sławna przełęcz „Chiffa” z piękną, malowniczą drogą wśród bujnej roślinności i ze spadającym z olbrzymiej wysokości wodospadem. Jest to tak zwane „Źródło Małp”, dokąd wybiera się nasza wycieczka.

Ogromny, wygodny autobus już zajechał przed nasz hotel i przed zajęciem miejsc wyrażamy naszą wątpliwość, czy taka ciężka i obładowana maszyna będzie się mogła poruszać bez szwanku na wzgórzach Atlasu.

Pomocnik szofera, młode Arabczątko, zwinny, jak małpka, pokazuje białe zęby w uśmiechu i w łamanej francuszczyźnie, dodając nawet niedawno poznane słowo polskie „pania”, twierdząc — Droga stół gładki, pania, a szofera bardzo dobrze jeździć!.





Altana.

rządzi mądrze i energicznie. Bon-fa-rik, oaza z platanów i palm, jest ośrodkiem rolnictwa okolicy. Winnice, fabryki tytoniowe, przetwory z winogron i owoców, suszarnie daktyli, wyroby esencji kwiatowych — oto strona handlowa; obok tego ładne szkoły, ochrony dla dzieci, przytulki dla starców — wszystko to w ciągu stu lat stworzył dla Arabów genjusz kolonizacyjny Francji.

Z Bon-fa-rik jedziemy do Blida, miasta róż i pomarańczy, zwiedzamy święty gaj oliwkowy, podziwiamy koronkową altanę na placu i, otoczeni ciągle dziesiątkami Arabów w malowniczych strojach, idziemy obejrzeć zbudowany na rocznicę stulecia kolonizacji Algeru wspinały pomnik.



Agawy.

Ruszamy. Obladowani orzeszkami i owocami dla mieszkańców przełęczą, rozglądamy się dokoła, jedziemy wolno, by jak najwięcej zobaczyć i sfotografować, bo ogarnęła nas, nieszkodliwa zresztą, manja ciągłego fotografowania. Droga, świetnie asfaltowana, jest rzeczywiście, jak stół, obsadzona eukaliptusami, cyprysami, daje nawet pożądaną cień, bo upał powoli się wzmaga, termometr pokazuje 53°, ale w górach nie będzie tak gorąco, wiemy dobrze. Zresztą jesteśmy wszyscy już Afrykanami w hełmach na głowie, zapominamy, że przywykliśmy w Warszawie do deszczu i błota.

Jedziemy przez Bon-fa-rik i Blida, dwa większe miasteczka po drodze. Wszystko naokół świetnie zagospodarowane i uprzemysłowione: ręka francuska, którą wszędzie znać,

Jeden z inteligentniejszych Arabów tłumaczy nam poprawną francuszczyzną treść napisu i z zachwytem opisuje piękną uroczystość poświęcenia pomnika, na której był obecny sam pan Prezydent Francji: — Ah, jakież było piękne wojsko! co za mundury, byli nawet spahi na swoich mehari (kawalerja arabska na specjalnie tresowanych do biegu wielbłądach) i muzyka tak pięknie grała... A nadewszystko pan Prezy-

dent! Rozmawiał nawet trochę z nami... — mówi zachwycony Arab.

Lecz czas leci, musimy jechać dalej. Przed nami otwierają się przełęcze Chiffy. Na stokach Atlasu rośnie pełno świeżych, soczystych fig, śliczne mimozy chylą swe delikatne kwiaty, drogę zaś otaczają olbrzymie kaktusy, agawy i opuncje. Wyraźnie słychać plusk wody, zjawisko dość rzadkie w suchej Algierji, nic więc dziwnego, że małpy w olbrzymiej ilości wybrały sobie za siedzibę okolice gór w pobliżu wodospadu. Podobno przyzwyczajone są do wycieczek i dają się karmić z ręki.

Już wszyscy są zniecierpliwieni, przynaglamy szofera do szybszej jazdy, właśnie tam, gdzie najcięższa droga. Wtem ktoś wyraża wątpliwość, że małpy w ogóle nie przyjdą, bo miewają swoje kaprysy i że może dziś właśnie jest taki dzień małpiego złego humoru i my nic nie zobaczymy. Ktoś pociesza, że małpy na pewno przyjdą. Wtem autobus stanął i oznajmiono, że przyjechaliśmy.

Powszechne rozczarowanie — kawiarnia! U stoków Atlasu w Afryce, przy źródle dzikich małp — kawiarnia! Doprawdy, człowiek potrafi wszystko wyzyskać, wkrótce kawiarnie będą i na Saharze! Ostatecznie, skoro już tu jest, napijemy się i my czegoś chłodnego przed wejściem na górę. Idziemy więc i ze zdziwieniem słyszymy polskie: „Dzieńdobry państwu”. Okazuje się, że właściciel kawiarni jest Czechem, służba jest czesko-arabska i mówi po polsku. „Przecież tu tak dużo Polaków przyjeżdża!”.

Wobec takiego obrotu sprawy, zamawiamy nawet podwieczorek po powrocie z gór. A teraz w góry! Do wodospadu! Z bijącym sercem, obławowani orzechami idziemy kamienną ścieżką w górę.

— Patrzcie, małpa na drze-



Wtem Arab...



Obecność kobiet znosily lepiej, niż mężczyzn.

wie! — spostrzega ktoś. Rzeczywiście, ciemny kształt, uczepony na drzewie, zdaje się przyglądać nam nieufnie.

Wtem Arab, towarzyszący tam, wydał jakiś gardłowy okrzyk. Ciemny kształt oderwał się od drzewa, zeskoczył bliżej nas, pisnął... i w całym lesie powstał odrazu trzask, hałas i ze wszystkich stron leciały, skacząc z gałęzi na gałąź, dziesiątki, setki małp, w lesie się zaroilo, za każdą gałązką błyszczała para świdrujących oczu, widać było miłą mordkę... *)

Zaczęliśmy rzucać w stronę tych cieni orzeszki, wynurzały się z gęstwiny długie, zwinne łapy i chwytaly orzechy, ale małpy nie wychodziły. Wyjęłam wówczas z torebki jabłko i pokazałam. Za chwilę miałam koło siebie dwie małpy, wrywające mi jabłko. Obładowana dużą ilością torebek z owocami, zaczynałam mieć powodzenie u małp, wbrew twierdzeniu ogólnemu, że małpy wolą orzechy, stałam się przedmiotem zazdrości... Dumna z tego, zaczęłam rozmawiać z małpkami „w języku małpim”, rozumiały go o tyle, że wybierały z torebki najładniejszy owoc, brały z ręki przedmioty różne, lusterka bardzo chętnie, ale nie dawały się zupełnie głaskać. Obecność kobiet znosiły lepiej, niż mężczyzn. Od krajowców-Arabów uciekały z piskiem, szczerząc zęby. Skala tej przyjaźni daje się prawdopodobnie wytłumaczyć stosunkiem wycieczkowiczów: kobiety, zwykle bardziej uczuciowe, nigdy nie zrobiły im krzywdy, mężczyźni czasami, a od Arabów musiały znieść niemało przykrości.

Można było łatwo zauważyć, że małpy mają swego „szefa”. Największa stara małpa-samiec rządziła plemieniem. Na jej znak wszystkie się przybliżyły, na jej znak — gardłowy okrzyk, wszystkie spłoszone uciekły, żeby po chwili, zresztą, wrócić znowu. „Szef” miał pierwszeństwo przed wszystkimi, odganiał małpki, które mu przeszkadzały, a niektóre, prawdopodobnie z innego plemienia, absolutnie do nas nie dopuszczał.

Wyciągnęłam aparat, aby zrobić zdjęcie, w wąwozie było dość ciemno, nie można było zrobić zdjęcia na migawkę, trudno — musiałam zaryzykować, gdy ze zdziwieniem zauważyłam, że małpka, widząc aparat, wygodnie siada i... pozuje! Arab mi wytłumaczył, że małpy stare przyzwyczajone są do zdjęć i chętnie pozują, gdyż zwykle bywają suto wynagradzane! Chętnie zastosowałam się do tego zwyczaju.

W powrotnej drodze, podziwiając nowe okolice, zalane światłem księżyca, dzieliliśmy się wrażeniami i słuchaliśmy opowieści Araba, który mówił o wojnach, zdarzających się między plemionami małp, wojnach zaciekłych i krwawych, gdzie jako broń występują kamienie. Niebezpiecznie wówczas wchodzić do wąwozu, gdyż ofiarą może paść i człowiek, jak to się już nieraz zdarzyło.

Jadwiga Doboszyńska.

*) Małpy te należą do gatunku: wąskonosych, magotów (*Innus Silvanus*), są bezogonowe. Jest to rodzaj często spotykany w Europie, gdyż łatwo daje się tresować. Oprócz magotów widziałam spokrewnione z nimi *maccaçus*.



BABIE LATO.

Jesień polska ma swój urok. Wprawdzie nastają już dni zimne, pochmurne, deszczowe, ale bywają także prześliczne, słoneczne dni, które ludzie nazwali „babiem latem”. Po zaoranych już polach, skoszonych łąkach snują się srebrzyste włókienka pajęczyny, czepiające się grudek ziemi lub pożółkłych łądyżek traw. Rankiem, gdy perły kroplistej rosy padną na włókienka, promienie wschodzącego słońca przegładają się w nich, tworząc przewspaniałe barwy tęczy. Około południa zaś jedwabiste włókienka snują się w powietrzu, unoszone lekkim podmuchem wiatru, błyszcząc w promieniach słonecznych, jak brylanty. Niesione wichrem, zaczepiają się o drzewa, krzewy, ludzi pracujących w polu, muskając ich swą delikatną powłoką, pokrywając ich strój srebrzystymi nitkami. Te delikatne włókienka czy nitki nazywa się „babiem latem”.

„Babie lato” zaczyna się ukazywać zawsze w pierwszych dniach października, stąd też urosło przysłowie: „Po świętej Brygidzie (8 października) babie lato idzie”.

Lud polski wysnuł legendy w związku z babiem latem. Wedle jednej z nich srebrzyste nitki pajęcze, unoszące się w powietrzu, mają być „niebieską” przędzą z kołowrotka Najświętszej Panny Marji, która chce przypomnieć w ten sposób wiejskim gosposiom, że nadchodzi już czas przędzenia lnu, konopi, czy wełny.

W rzeczywistości jednak te jesienne nitki pajęczyny są dziełem mnóstwa pajęczków, zwanych namiastkami wędrownymi. Gdy nastaje jesień, pajęczki te poszukują dogodnych miejsc dla przepędzenia zimy. W tym celu puszczają się w podróż na włókienkach, które same snują.

Dzieje się to w sposób następujący: pajęczek wchodzi na jakiś przedmiot, sterczący ponad ziemią i ze specjalnych otworów, t. zw. „kądzielników”, wyciska ciecz, tężącą na powietrzu w postaci delikatnych niteczek. Jeżeli wiatr porusza niteczkami, pająk puszcza się swobodnie i żegluje w powietrzu, zwykle grzbietem na dół zwrócony. Jeżeli w podróży pajęczyna zaczepi o jakiś przedmiot, pajęczek wytwarza nowe nitki i dalej na nich podróż powietrzną odbywa tak długo, dopóki nie znajdzie odpowiedniego miejsca na leże zimowe. Jeżeli podróż trwa za długo i pajęczek chce gdzieś osiąść, płacze nitki w węzełek i na nim, jakby na spadochronie lotniczym, opada na ziemię.

Mieczysław Wargowski.

BABIE LATO.

Narzekąca baba na zimę:
 na dmące wichry,
 na te zamiecie,
 na wielkie śniegi,
 na zięb na świecie
 i wreszcie,
 że z tych powodów
 nie może chodzić po kweście!

Narzekąca baba na wiosnę:
 na chłodne ranki,
 na rzek wylewy,
 na śliskie drogi,
 na deszcz, ulewy
 i wreszcie,
 że z tych powodów
 nie może chodzić po kweście!

Narzekąca baba na lato:
 na much bzykanie,
 na żab rechoty,
 na te gorąca,

na te spiekoty
 i wreszcie,
 że z tych powodów
 nie może chodzić po kweście!
 Rozjaśniły się babie oczy
 jesienią,
 gdy się pokryły jabłka
 czerwienią.
 Rozjaśniły się babie oczy
 nareszcie,
 że to już może chodzić
 po kweście!
 Żadna gospodyni
 wstrętów jej nie czyni!
 Żaden z gospodarzy
 z babą się nie swarzy!
 Nawet dziatwa młoda
 chętnie też coś poda!
 I to słonko z nieba
 grzeje, ile trzeba!
 Dzięki Bogu za to —
 to jest „babie lato”!...

L. WISZNIEWSKI.

2)

ZACZAROWANA LATARENKA.

Napisała A. Wolska.

A z pomiędzy sosen zaczęły wysuwać się postacie nadmorskich rybaków z pogwarem, z kłananiem, jako że wici przyniesiono o przybyciu knezia. Otoczyli go wreszcie kołem, posiadawszy na wrzosowem podścielu, i stary Ratym rzekł dobitnie:

— Dziw dziwny przydarzył się u nas, kneziu i panie!

— Powiadaj! — odparł kneź Sława.

— Jakiś okręt cudny-cudaczny na wodach naszych kotwicę rzucił i stoi. Nigdyśmy takiego nie widywali. Na okręcie królowa-nie-królowa pod namiotem leży, jakby spoczywała po drodze dalekiej. Wioślarzy i ludu osobliwego na tym okręcie pełno. Na brzeg zejść nie próbują, nam też do nich nie śpieszno.

Zatrzymał się w opowiadaniu Ratym, lecz kneź przynaglił go wezwaniem:

— Powiadaj, mówię! Powiadaj!

— Okręt jest — mówił dalej Ratym — niby wielki smok, który jakgdyby skrzydliskami boki zakrywa, a głowę — ni to lwia, ni to tygrysią — wysoko ponad wodę wznosi i patrzy hen, na mieniące się fale.



— Dziw nad dziwy przydarzył się u nas, kneziu...



Olbrzymi żagiel, czerwoną i zieloną barwą obrzeżony, zwisa bezwładnie na wysokim, złotem drzewcem zakończonym maszcie. Po bokach okrętu — trzy szeregi wiosel, jedno nad drugimi, zastygły bez ruchu. A kobiety, co je przez burty poprzierzucali, siedmioma tęczami się mienia.

Kneź słuchał, ledwie na miejscu usiedzieć mogąc. Oczy migotały mu, jak szafiry. Gdy Ratym skończył, zawołał, zrywając się z miejsca:

— Bułanka dawajcie, a żywo!

Wielce był ciekaw, kto się na jego morzu rządzi. Dosiadł więc szybko konia, skręcił na miejscu i wyciągniętym klusem ruszył w bór, kędy wiła się ścieżynka ku rybackiemu osiedlu na brzegu morza. Drużyna pociągnęła za nim, rybacy zaś szybko, zręcznie jeli się spuszczać do morza bliższą, lecz niedostępną dla jeźdźców stroną.

Tego dnia jednak osuwający się na ziemię zmierzch przeszkodził kneziowi Sławie w zaspokojeniu ciekawości. Kiedy stanął nad wodą, wszystko dokoła zasnuła ociem zupełna. Do nóg Bułanka przypadały tylko olbrzymie, pienne fale, witając knezia rykiem, bulgotem, hukiem. A zdaleka od okrętu patrzyły na drużynę kneziową wielkie, gorejące smocze oczyska i migwały kolorowe światelka.

*

Nazajutrz, kneź i drużyna, przystrojeni odświętnie, weszli do łodzi i z dęciem w rogi, z biciem w bębny zaczęli płynąć do okrętu. A chociaż broń przy sobie mieli, z okrętu spuszczone drabinki i nie opatrzył się nawet kneź, jak z pokłonami głębokimi przywiedziono go do cudnego purpurowego namiotu i przed oczy zamorskiej królowej stawiono.

Królowa włosy miała do ziemi sięgające, złocisto-rude, twarz — tak łagodną i cudną, że kneź zapatrzył się w nią swemi tęskniącemi za szczęściem oczyma i stał zdumiony, cichy. A później wyciągnął dłonie do zamorskiej pani, prosząc gorąco, radośnie:

— Knehinią moją zostań! Żadna z dziewic mej ziemi urodą i jasnością nie dorówna twej krasie! Do wieku służyć ci będę!

Nie zrozumiała tych słów królowa z zamorskiej krainy, odpowiedziała jednak:

— Domyślał się, że panem tej ziemi jesteś. Spocznij, proszę, a potem moją ci wołę powiem.

Kneź, idąc oczyma za ruchem jej ręki, zasiadł na pięknie tkanych poduszkach, gdy Domorad pochylił się ku niemu i szepnął:

— Kneziu, żywję trzebaby tutaj. Zna wszystkie mowy na świecie, każdego rozumie. Powiedziałyby nam, co mówi zamorska królowa, boć obce te słowa, które słyszymy.

— Prawdę powiadasz — szepnął kneź. — Idź, jeno grzecznie prosź żywję, by nam łaskawą była.

Dalszy ciąg nastąpi.





FRANEK GAZECIARZ.

Franek był gazeciarem. Ciężka to była praca dla dziesięcioletniego chłopca, zwłaszcza w zimie, kiedy mróz był duży, a wiatr przelatywał przez jego zniszczone ubranko i podarte, przewiewne paltko.

Cóż jednak było robić? Ojciec umarł, gdy Franek miał sześć lat, a biednej wdowie ciężko było zarobić praniem na utrzymanie siebie i syna, na opłatę za mieszkanie, opał i ubranie. Janek więc musiał pracować, aby pomóc matce; robił to nawet dość chętnie. Czasami udawało mu się prędko sprzedać swoje gazety tak, że mógł jeszcze pobawić się trochę z kolegami na ulicy, popatrzeć, jak na pobliskim placu grano w piłkę nożną lub przyrzedzić się jeżdżącym na rowerach w wiodromie. Żeby tak sam mógł pojeździć — o tem nawet nie marzył.

Kiedyś był w kinie na „Pacie i Patachonie”. Uśmieł się wtedy do łez. Bo czyż można było bez śmiechu patrzeć na grubego, maleńkiego Patachonka i wysokiego, chudego Pata? Na ich śmieszne miny i komiczne przygody? Franek często myślami powracał do tego radosnego dnia w życiu, marząc o tem, aby się prędko powtórzył.

Właśnie teraz, w tem kinie na rogu muszą wyświetlać jakieś ciekawe historie dwóch jego ulubionych artystów, bo chłopiec widzi tłum ludzi, gapiących się na tekturowe figury Pata i Patachona, stojące przed kinem dla reklamy. Franek patrzy też i zdaje mu się, że Pat kiwa na niego palcem, chudym, jak patyk, a Patachonek, mały i okrągły, mruga na niego figlarnie okiem.

— Poczekajcie! — mówi Franek. — Jutro niedziela, sprzedam prędko swoje gazety, poproszę mamusię o pieniądze na bilet i zobaczę was!

Matka nie sprzeciwiała się wcale; wszak Franek miał tak mało przyjemności w życiu, niech się rozerwie nieboże! Dodała mu jeszcze 20 groszy na cukierki, tak przecież rzadko je jadt! Wyprawiła jedynaka do kina, a sama poszła do krewnych.

Uszczęśliwiony Franek biegł pędem, nie zważając, iż śnieg z deszczem ciał mu prosto w twarz, a błoto wchodziło dziurami do bardzo podartych butów. Za chwilę usiadzie sobie w kinie i będzie podziwiał niezrównane przygody swych ulubionych bohaterów. Zdaleka, w łunie światła, widzi dwie śmieszne figury, jest już tak blisko nich...

Wtem usłyszał płacz i zobaczył siedzącego na kamieniu najmłodszego swego kolegę gazeciarza — sześciolatniego Janka.

— Czego płaczesz? — spytał, podchodząc do niego blisko i z zaciekawieniem patrzył na zamorusaną buzię płaczącego.

Ale Janek nie mógł nawet odpowiedzieć. Szlochając, wskazał ręką na gazety, leżące u jego nóg i zawałane do tego stopnia, że Franek z trudnością je rozpoznał.

— Jakim sposobem się tak pobrudziły? — zapytał.

Janek, ciągle płacząc, opowiedział, jak to niedobry Wacek wytrącił mu cały stos gazet. Teraz tu siedzi i płacze, bo z czem ma wrócić do domu?

Franek, schyliwszy się, zaczął przeliczać gazety, leżące w błocie. Było ich czternaście. Nie zastanawiając się chwilki nawet, wyjął półtora złotego, które dostał od matki na kino i, wtykając płaczącemu chłopcu w rękę, szepnął:

— Idź do domu i nie becz! Masz tu pieniądze za te gazety, a nawet o dziesięć groszy więcej! Idź tylko prędko do domu, bo widzę, żeś zmarzł! — I nie spoglądając więcej na kino, zawrócił Franek w stronę domu...

Matki nie zastał, położył się więc prędko do łóżka i wkrótce zasnął.

Kiedy wdowa wróciła do domu, zastała swego jedynaka pogrążonego w głębokim śnie. Leżał cichutko a na twarzyczce jego rozlewała się głęboka radość i zadowolenie.

— Śpij, mój synku! — powiedziała, pochylając się nad nim, — napatrzyłeś się dziś dużo wesołych i pięknych historyj, to pewnie ci się i przyśniły!

A małemu Frankowi naprawdę śniły się bardzo dziwne rzeczy. Oto Pat i Patachon wyprawiali tak śmieszne figle, jakich chłopiec jeszcze nigdy w życiu nie widział!

Irena Włodarczykówna.



POŻEGNANIE.

*Kuńdzia jeszcze maleńka,
Z Kuńdzi jeszcze kruszyna,
więc też później, niż inni
swe nauki zaczyna.*

*Dzisiaj wraca do miasta,
przyszła pora i na nią.
W dali czeka powozik
na maleńką swą panią.*

*W starym parku tak pięknie,
że opuszczać go szkoda.
Takie jeszcze słoneczko,
taka jeszcze pogoda.*

*Jak na jakim jarmarku
park nawieszał koralu
wśród jałowców i głogów,
wśród jarzębin i kalin.*



POZEGNANIE.

Tylko nizać i nizać
 Krakowiankom na sznurki,
 na czerwone korale,
 na różowe paciorki.

A klonowe listeczki,
 jak czerwone chusteczki.
 A brzoźowe znów listki,
 jak serduszka złociste.

— — — — —
 Kuńdzia wie — trzeba jechać,
 ale parku tak żal jej...
 Pożegnała na klombach
 georginje, te dalej,
 pożegnała nad stawem
 każdą wierzbę płaczącą.

Teraz pieska, Filusia,
 żegna czule, gorąco:
 — Mój piesuńciu kochany,
 moja psinko milusia,

strasznie smutno mi będzie
 bez mojego Filusia.
 Wiesz, jak bardzo zatęsknię,
 wezmę czystą karteczkę
 i twój zrobię portrecik —
 taką burą mordeczkę.
 A ty sprawuj się dzielnie,
 parku pilnuj tu dalej.
 Gdy powrócę, będziemy
 znowu biegać wśród alej.

— — — — —
 Nad klonami wiatr powiał,
 zaszumiały wkrąg klony:
 — Weź, Kuńdziuniu, na drogę
 choć ten listek czerwony...

— — — — —
 Cyt, powozik już rusza,
 stangret konia wnet zatnie,
 Kuńdzia jeszcze przesyła
 pozdrowienie ostatnie.

LUCYNA KRZEMIENIECKA.



D A L J E.

Żółte dalej patrzą smutno,
 żółte dalej jutro zwiędną.
 Niebo jest, jak zgrzebne płótno.
 Zimno, ciemno...

Żółte dalej drżą na wietrze.
 Patrzą smutno... Jutro zwiędną...
 Tulą płatki coraz bledsze...
 Zimno, ciemno...

Z. KRZEPKOWSKA.



DALJE.

7)

BURSZTYNOWY TALIZMAN.

Opowiadanie z czasów dzisiejszych.

Napisata E. Szelburg-Zarembina.

I pożałował Piotruś, że do szkoły w tym roku nie chodzi, że musiał przerwać naukę, że tak trudno samemu sobie odpowiadać na wszystko i wszystko rozumieć, co się dokoła dzieje... być niedużym chłopcem, a kłopoty mieć takie, jak mają dorośli, i kłopotom tym nie umieć sprostać. Ciężko!

— Dorosnąć mi trzeba prędzej, albo co! — mruknął Piotruś, zacisnął pięści i ręce wsunął głębiej w kieszenie. W prawej kieszonce zaszeleścił papier: papier dziesięciozłotowy.

— A prawda! Moje 25 groszy! Nie starczy na wiele, ale na pięć cukierków starczy — pocieszył się Piotruś. — Jeden cukierek będzie dla Marysi, dwa dla Jacka i Wacka, czwarty dla mnie samego, a piąty dla mamy. Dorośli też przecież lubią słodczy, choć się do tego nie przyznają, jak dzieci. A mama, kiedy tam ona cukierki jadła! Piotruś nawet nigdy nie widział mamy z cukierkami w ustach.

— Więc ten raz niech się mama tak właśnie ucieszy, jak on, jak Wacek z Jackiem, jak Marysia! Hu ha!

A, że właśnie dochodzi już Piotruś do domu, najporęczniejszemu kupić te cukierki w znajomym, małym sklepiku przy bramie.

Wszedł. Papierek dziesięciozłotowy rozwinął uważnie, położył na ladzie i mówi do znajomego sklepikarza w białym fartuchu:

— Proszę pana o pięć cukierków nadziewanych za 25 groszy i reszty.

Skleplikarz wyciągnął dużą, czerwoną rękę i przykrył nią pieniądze.

— Cukierków i resztę! — zaśmiał się. — Wolne żarty, kochasiu! To jest banknot dziesięciozłotowy, a winniście mi w sklepie właśnie całe dziesięć złotych. Teraz więc będzie z nami kwita. Rozumiesz?

Tak oto wykwitował sklepikarz Piotrusia.

Właściwie był on w prawie, miał za sobą rację, ale Piotruś stracił całkiem humor. Niekupione cukierki wydały mu się słodsze, niż były w rzeczywistości. I... co powie na to matka?

Matka powiedziała: — Wszystko jedno. I tak trzeba było kiedyś oddać ten dług w sklepiku, choć myślałam, że sklepikarz nie wszystko odrazu weźmie, że może choć ze dwa złote na chleb i sól zostawi. Ano, niechże więc będzie tak.

Tylko Wacek z Jackiem, jak się dowiedzieli, że mogli mieć po cukierku, a nie mają, zaczęli się mazać jednym głosem. Ale i oni przestali, bo zaraz spać ich mama pokładła, jednego przy drugim, jak strucle.



Teraz będzie z nami kwita.

Małeńka Marysia, kruszynka cichutka, już oddawna spała z pustym smoczkiem w buźce. Położył się i Piotruś na kuferku przy kołysce Marysi.

Był tak zmęczony i zmartwiony, że zaraz zasnął. Nie wiedział nigdy potem, jak długo spał i dlaczego się właśnie wtedy obudził? A obudził się nagle i odrazu, jakby mu kto krzyknął w ucho: — Patrz!

Otworzył oczy i dziwną rzecz zobaczył, taką, że mu odrazu dech w piersi zaparło. Widzi: cała izba pogrążona w chybottliwych cieniach, cała izba w ciężkim, dusznym mroku, tylko w kącie, na rogu komody pali się mała czerwona lampka oliwna, zdjęta widocznie z przed wiszącego na ścianie obrazu Matki Boskiej Nieustającej Pomocy.

W krwawem świetle tej lampki poruszają się dwa widziadła, dwie postacie kobiece. Jedna biała, czarna druga. Coś szepczą.

Biała postać raz po raz rozkłada bezradnie ramiona, to znowu załamuje ręce, aż głośno trzaskają kości... A ta druga, ta czarna nieustępliwie nad nią pochylona, coś liczy, rachuje na rozczapierzonych palcach, o czemś ją przekonywa. Patrzy Piotruś: podnoszą się wreszcie obie, wstają i idą na palcach przez całą izbę, idą aż pod przeciwległą ścianę, aż tu, gdzie stoi kołyska Marysi, i kuferok, na którym leży Piotruś.

Czego chcą te mary nocne?

Oto zatrzymały się o krok jeden od niego. Lęk nakazuje chłopcu milczeć, wsadzić głowę pod poduszkę i nic nie widzieć! Skryć się! Ale ciekawość przemaga. Wytrzeszcza więc Piotruś oczy i tylko dech w sobie tai, ale patrzy pilnie.

Dalszy ciąg nastąpi.

NA GRZYBACH.

*U sosenki, u gibkiej
rosły sobie trzy grzybki:
imć borowik
czerstwy, zdrowy,
co skrył brzuszek
w mchu kożuszek;
mały maślak
tuż pod górą,
bardzo smutny,
że nie urósł;
panna gąska
smukła, wąska,
w falbaneczkach,
jak laleczka.
Do sosenki, do gibkiej
przyszły dzieci po grzybki:
Antoś zaraz
maślak znalazł,*

*Kasia potem
gąskę złotą,
A Marynka,
zuch dziewczynka:
— Mam — wykrzyka —
borowika!
— Ja swój grzybek
dam matusi,
to na obiad
go udusi.
— Ja ususzę
swój w kominie,
oj, przyda się
bardzo w zimie!
— A ja oddam
mój borowik
ubogiemu
dziadusiowi.*

ANNA ŚWIRSZCZYŃSKA.



Mal. F. M. Wygrzywalski

SAMUM.

7)

TAJEMNICA HOGGARU.

Napisał L. Życki-Matachowski.

Zawróciłem wielbłąda na dawną drogę, lecz poddał się tej przemocy z mej strony bardzo niechętnie, wydając lęklive pojękiwania i czułem, że aż drży ze strachu. Coś w tem musiało być.

Spojrzałem ku południowi. Na horyzoncie widać było jakieś dymy, co mnie mocno zdziwiło, gdyż rosły one szybko wszere i wzwyż. Lecz wkrótce poczułem powiew rozżarzonego powietrza i zrozumiałem, na co się zanosi. Nadchodził samum. Przeżyłem już dwa razy podobne chwile, ale jakoś samum był dotychczas dla mnie łaskaw i po kilku godzinach przestawał dąć. Zresztą miałem wtedy obok siebie Jussupa, a on zawsze wiedział, jak się w podobnych wypadkach zachować. Tu tymczasem zanosiło się na coś znacznie gorszego. Wicher przybierał wciąż na sile i z oddali dochodził grzmot, jakby z tysiąca dział, który rósł coraz bardziej.

Ucieczka przed tym straszliwym wichrem jest niemożliwa i jedynym przed nim ratunkiem jest przywarowanie do ziemi i zdanie się na łaskę boską. Gorący wiatr pędzi z szaloną szybkością, rwąc masy piasku i wysuszając swem ognistym tchnieniem każdy żyjący organizm. Delikatny i miałki piasek dociera poprzez wszystkie osłony aż do ciała i tamuje oddech, wdziera się nawet do zaciśniętych ust. Coraz większe jego warstwy osiadają na leżącej karawanie. Jeżeli po upływie kilku godzin

siła samumu nie słabnie, karawana ginie bez ratunku i dopiero może po latach nowy samum odkopie szkielety ludzi i wielbłądów, ukazując je ludziom, niczem drogowskaz swojego przejścia. Wiedziałem o tem wszystkim, lecz widok, jaki się roztoczył przed memi oczyma, był zupełnie różny od dotychczasowych. Tu samum poczynał sobie zupełnie inaczej. Nie pędził przed sobą mas lotnego piasku, gdyż nie było go zbyt wiele na owem skalistem podłożu. Zato toczył z niezmierną szybkością kamienie, dochodzące wielkości pięści, wydając przy tem ów huk, który mnie tak zadziwił. Niebardzo wiedziałem, jak się wobec tego nieznanego zjawiska zachować, lecz postąpiłem jak zwykle w czasie samumu, to jest zmusiłem dromadera do położenia się i sam ległem z nim, owinąwszy się szczerlnie płaszczem. Huragan tymczasem wzrastał do nieznaney potęgi. Kamienie zaś, mimo owej osłony z dromadera, dawały mi się boleśnie we znaki, sypiąc się na mnie, jak grad. Jeszcze więcej ode mnie cierpiał dromader, gdyż wydawał żalosne jęki i rzucał się po silniejszym ciosie. Tak trwało kilka godzin i wkońcu mój wierzchowiec uspokoił się zupełnie i nie dawał żadnego znaku życia. Z nadejściem nocy i wichur raptownie się skończył, przechodząc, jak to ma miejsce tylko na Saharze, w stan zupełnego spokoju.

Zmęczony i potłuczony nie myślałem nawet o zaspokojeniu głodu. Wynalazłem sobie, zwyczajem koczowników, zagłębienie w ziemi, odpowiadające kształtem mojej osobie i wkrótce usnąłem.

Obudziłem się o świcie, gdy zniżka temperatury sygnalizuje nadchodzący poranek. Trzeba wam bowiem wiedzieć, że, o ile dni na pustyni są bardzo gorące, to nocą nastaje zniżka temperatury, dochodząca nad ranem do zera. Dlatego też koczownicy noszą zawsze ciepłe wełniane burnusy, które spełniają podwójne zadanie: w dzień chronią od upalnych promieni słońca, a w nocy zabezpieczają przed mrozem. Wtedy dopiero zauważyłem, jak urządził mnie samum. Wargi miałem spękane i skóra na twarzy łuszczyła się. Powieki obrzękły i pokryły się krostami. Gałki oczne bolały ogromnie. Podeszedłem do dromadera, który leżał wciąż bez ruchu. Przyjrzałem mu się uważniej, trąciłem go nogą i naraz zdrętwiałem z przerażenia. Dromader był martwy. Czy go zabił suchy i gorący, jak żar z rozpalonego pieca samum, czy też przyczynił się do tego grad kamieni — nie wiem, lecz fakt był i to fakt niesłychanej grozy... Zostałem sam jeden wśród pustyni na łaskę i niełaskę losu, pozbawiony wierzchowca, owego „okrętu pustyni”, który jedynie mógłby mnie wynieść z tego królestwa śmierci. Co robić? Jedyłą rzeczą do zrobienia był dalszy marsz w kierunku Hoggaru, gdyż tam tylko oczekiwała woda i ludzie. Ludzie... Lecz jacyż to ludzie być mogą, jeżeli nawet mój nieustraszony Jussup ich się obawia? Ale cóż, lepiej dostać się w ręce koczowników, chociażby o bardzo zły sławie, niż umierać na pustyni! Zresztą przecież sam tego pragnąłem i sam do tych tajemniczych ludzi dążyłem. Jednakże inaczej zupełnie człowiek się czuje, siedząc na grzbiecie wielbłąda, a inaczej sam jeden, mizerny wśród tej bezkresnej głąszy.

Dalszy ciąg nastąpi.

2)

DUŻO ŚMIECHU.

Przedstawienie, w którym biorą udział wszystkie oddziały: od I-go do VII-go.

Uscenizowała M. Gerson Dąbrowska.

W NASZYM DOMKU.

(Wnętrze izby. Na ławce, przytulone do siebie, siedzi troje dzieci: najstarsze (chłopiec lub dziewczynka) w środku, obejmuje rękoma dwoje młodszych i mówi cichym, trochę sennym głosem wiersz).

Gdzież jest lepiej, gdzie milej, niż tu? Kotek mówi swe ciche mru - mru, piesek oparł pysk szary na łapie i spokojnie, spokojniutko chrapie.

Tam na dworze wicher i ulewa — tu piosenki matusia nam śpiewa. A za małą, malutką chwileczkę tatuś śliczną opowie bajeczkę. Czasem któreś z nas coś zbroi, spsoci, czasem komuś zachce się łakoci, czasem spadnie skądś jabłuszko,

gruszka,
i — chrup, chrup, chrup polecą do
brzuszka.

Tam na dworze wicher liśćmi pomiata, a nam ciepło, jak na końcu świata. Mama słodko kładzie nas do snu.

Gdzież jest lepiej, gdzie milej, niż tu? *(Gdyby znalazł się spokojny i posłuszny pies, możnaby mu kazać warować u nóg dzieci. Kotka (choćby zabawkę) mogłoby jedno z dzieci trzymać na kolanach. Za oknem powinno być słychać wicher).*

M. Czerkawska.

WESOŁEK.

Za chwilę poznacie dwóch chłopczyków: Jasia i Stasia, zaraz ich Wam przedstawię i ciekawym bardzo, jak Wam się te dwa „zuchy” spodobają i — czy to są naprawdę zuchy, czy może?... Ale nie, nic Wam nie powiem o nich, sami musicie nazwać ich właściwą nazwą.

ZABKA.

Kum! Kum! Kum!

WESOŁEK.

Nie przeskadzaj!

ZABKA.

Ale kiedy już czas! (Skacze)

WESOŁEK.

Zaraz zobaczymy, czy można już

tych „zuchów” naszym gościom pokazać.

(Zagląda przez szparę między zasłonami. Żabka zabiega z obu stron, chcąc też zajrzeć).

WESOŁEK.

No, już można, daj znak, żabko!
(Usuwa się do brzegu zasłony)

ZABKA.

Kum! Kum! Rozsuń się, zasłono.
(Odbiega na bok).

II oddział.

ZUCHY.

(Scena przedstawia ogród. Wchodzi STAS i JAŚ, trąbiąc co sił, cudacznie uzbrojeni od stóp do głów).

STAS i JAŚ *(razem, z ukłonem).*

Jaś i Staś — bracia dwaj.

Oba zuchy, że - ajaj!...

STAS.

Wyprawiamy się na łowy.

JAŚ *(z dumą).*

Na niedźwiedzia!... Bo gajowy widział ślady jego łap...

STAS.

Więc ja prędko flintę cap!

i...

JAŚ *(wskazując swój tuk).*

A ja idę strzelać z łuku, bo... nie lubię tego... huku.

Ale chodźmy, bo pan „miś” gotów nam się wymknąć dziś.

(Nagle odskakuje wtył).

Uj!

STAS *(przestraszony)*

Co?

JAŚ *(uspokojony)*

Nie... To kępka sucha, a myślałem, że... ropucha.

(Widząc, że Staś drżący cofa się).

Cze...go drżysz?

STAS *(wskazuje palcem przed siebie).*

My... my... mysz...

*(Chwytają się kurczowo za ręce i cofają ostrożnie).*JAŚ *(szepciem).*

Nie rusza się...

STAS *(tak samo).*

Nie...

JAS (uradowany woła):
 To liść!
 STAS (z westchnieniem ulgi).
 No, możemy dalej iść.
 (Tłumacząc się):
 Wiesz?... Ja tak się myszy... brzydę.
 JAS
 A ja ropuch nienawidzę!
 Każda takie galy ma.
 (Pokazuje).
 STAS.
 Chodźmy!
 JAS (potrząsając bronią).
 Na łów! Hejże ha!
 Wiesz? Ja będę podróżnikiem,
 co to jeździ w kraje dzikie,
 będę strzelał: pif! paf! puf!
 (Gestykuje).
 A tygrysy, krokodyle
 pozmykają na trzy mile!
 STAS (z dumą):
 Ja będę pogromcą lwów
 I bez broni, tylko z batem
 będę wchodził do ich klatek...
 (Za sceną ryczy krowa).
 Ojej! co to?

STAS (rzucając broń).
 Lew za bramą!
 W „Zoo” ryczał lew tak samo!
 Uciekajmy!
 JAS (biegnąc za nim z płaczem).
 Stasiek! Staś!
 Cze... kaj!
 STAS (chwytając gałąź drzewa).
 Sza... Na drzewo włącz!
 JAS (chwytając go za ubranie).
 Stój! Tam... ślepią widzisz!
 (Pokazuje między gałęziami).
 STAS (odskakuje w tył).
 Miś!!
 (Z drzewa — miauknięcie kota).
 JAS (uciekając):
 Nie! jaguar!
 STAS (za nim).
 Al..b..bo... r..ryś!
 (Krowa znów ryczy).
 JAS.
 Ojej! Słyszysz? znów to samo!
 STAS i JAS (zastoniwszy oczy, w nie-
 bogłoty):
 Ojej! Ojej! Mamo! Mamo!
 Dalszy ciąg nastąpi.

PO WAKACJACH.

Wakacje już poza mną — lecz
 jesienny ranek
 jasny jest, jak wspomnienie
 złotych zboża grzyw;
 mam w oczach dni na miesiąc
 zwolna nawlekane:
 pola, sady, pył błękitny dojrzałych
 już sliw.
 W myślach wije się jeszcze toń
 rzeki niebieska,
 cienie wierzb, pluski fali pełnej
 srebrnych smug,
 jeszcze dziwię się trochę, że to
 nie jest ścieżka,
 ale miasta, z kamieni ułożony
 bruk.
 Słońce—słonecznik ciepłą zwraca
 ku mnie głowę,
 sala szkolna za chwilę pochłonie
 mnie znów.

Zjawią się chwile inne, nieznane
 i nowe,
 na które jeszcze nie mam,
 nie znajduję słów.
 Przyjdą koledzy — znowu
 będziemy gromadą,
 złączy nas praca, przyjaźń
 i sprzeczką i śmiech.
 Wakacje się, jak do snu ułożą,
 pokładą,
 niekiedy tylko pamięć zbudzi
 odzew ech.
 I czasem, jeśli okno wieczorem
 otworzę
 i szczerknie, co się zdarza, na ulicy
 pies,
 przypomni mi się bujnie falujące
 zboże
 i wśród zielonych sadów skryta
 biała wieś.

M. CZERKAWSKA.



Fot. Jan Wołyński

RADJOAMATOR,

Zbliża i zdaleka.

NOWE MONETY POLSKIE.

Skarb Państwa powiększył obieg bilonu (bilonem nazywamy drobne monety srebrne, niklowe i miedziane) o 76 milionów złotych. Obecnie będzie kursowało w kraju 396 milionów złotych bilonu, licząc na każdego człowieka po 12 złotych. Zamiast dziesięciozłotówek papierowych, które będą powoli wycofane z obiegu, wybito już milion 10-złotówek srebrnych. Wykonane bardzo ładnie, są takiej samej wielkości, jak 5-złotówki, tylko nieco grubsze. Monety te nazwano talarami.

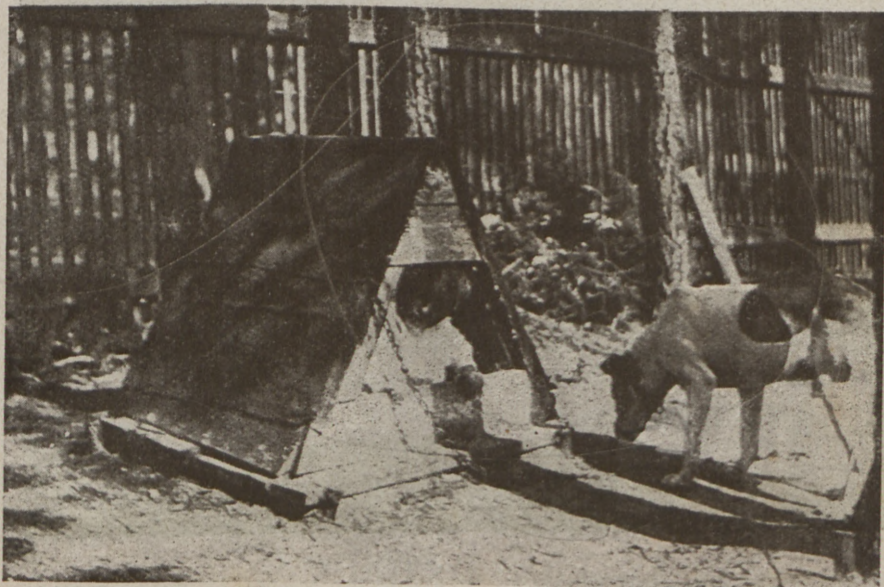
Będą też bite dukaty złote po 25 złotych. Jest to powrót do dawnych polskich nazw. Pierwsze dukaty w Polsce były wybite na koronację Władysława Jagiełły, ostatnie — w czasie powstania listopadowego 1831 r. Wtedy miały one wartość 18 złotych polskich.

TAŃSZA OPŁATA POCZTY LOTNICZEJ.

Niedawno została obniżona taryfa dla przesyłek lotniczych w obiegu krajowym. Obecnie koszt przesyłki karty pocztowej wynosi 35 gr., listu 50 gr.

ZATONIĘCIE STATKU.

Polski statek handlowy „Niemen” zatonął wraz z całym ładunkiem. Załoga została uratowana.



Fot. Z. Marcinkowski

REKS BARDZO LUBI, KIEDY GO TEN MAŁY GOŚĆ ODWIEDZA W JEGO BUDCE.



WESOŁE.

- Ile ma lat twój braciszek?
- Roczek.
- Nasz pies ma także rok, a doskonale już biega. A twój braciszek ledwo raczkuje.
- No tak, ale przecież Buruś ma cztery nogi, a mój braciszek tylko dwie!

DOMYŚLNY.

- Dlaczego kaczka pływa po wodzie?
- Bo ma za krótkie nogi, żeby chodzić po dnie, jak bocian.

CAŁY DZIEŃ...

- Co chcesz na śniadanie, kawę z bułeczką, czy mleczko i miód do chleba? — pytają Michasia.
- Michaś namyśla się chwilę, potem mówi: — Miodu nie chcę na śniadanie.
- Dlaczego?
- Bo potem cały dzień miałbym ręce lepkie.

WYWNIOSKOWAŁ.

Dzieci na lekcji rysunków malują domki kolorowymi kredkami. Jaś maluje zielony dym, wychodzący z komina.

- Dlaczego malujesz zielony dym? — pyta nauczycielka.
- A, bo proszę pani, ja myślę, że u nas dzisiaj będzie zielony dym, bo gotują szpińtak.



SZTUKI ZUCHÓW.

Żeby wyrobić sobie zwinność, zuchy urządzają następujące ćwiczenia:

1. Przejść 20 kroków z zamkniętymi oczyma i nie zmylić kierunku.
 2. Skakać na jednej nodze 15 kroków z zamkniętymi oczyma.
 3. Iść szybko z książką na głowie tak, aby nie spadła.
 4. Prędko iść z pełną szklanką wody w wyciągniętej ręce i ani kropli nie wylać.
 5. Na rozkaz szybko chwycić jedną ręką prawe ucho, drugą — lewe oko i nie pomylić się.
 6. Chodzić z pudełkiem zapalek na nodze tak, żeby nie spadło.
 7. Rzucić w górę piłkę i przed złapaniem coś zrobić (na przykład napisać na kartce papieru 1, 2, 3 litery).
- Aby sztuki te były ciekawe, urządza się je często w formie zawodów.
A Wy lubicie zawody — prawda?

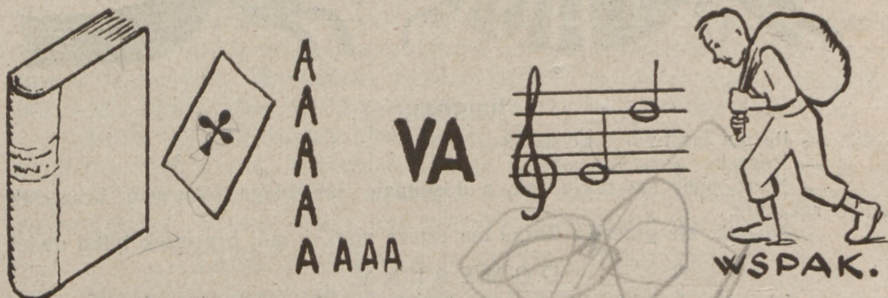
Bambaju.

DZIAŁ ROZRYWEK

TURNIEJ ROZRYWKOWY.

Nr. 9. REBUS.

(Za rozwiązanie 4 punkty).



Nr. 10. SZARADA.

(Ułożyła A. S.).

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Drugie — rzeka, która w Wisłę
wpada.
Na drugie, trzecie — każdy chętnie
siada,
gdy śnieg okryje ziemię płatami.
Pierwsze, trzecie — zowią też
dzidami.
Trzecie, pierwsze — to się z wodą
dzieje,
gdy do 100 stopni już się rozgrzeje.
Pierwsze, drugie, trzecie — dzieciom
dają,
gdy Wielkanocne święta nastają.

Nr. 11. SZARADA.

(Ułożyła A. S.).

(Za rozwiązanie 3 punkty).

Pierwsze wołaj na konika,
gdy nie jedzie, tylko fika.
Drugie, gdy cię praca nuży,
lub zmęczonyś jest w podróży,
on przy tobie chętnie siada,
różne dziwy opowiada.
Trzecie, to spótgłoska znana
do litery *a* dodana.
Wszystko — światu radość niesie;
bywa w polu, w sadzie, w lesie,
w sercu ludzkim też przebywa,
przeto młodość jest szczęśliwa.

HALLO! TU MÓWI DO WAS RADJO!

Niejeden Staś, niejedna Hania myśli sobie: „Jacyśmy nieszcześliwi! Wciąż trzeba się uczyć! O ileż szczęśliwsze są od nas zwierzęta! Do szkoły nie chodzą, nie piszą ćwiczeń, nie uczą się wierszyków... Mama w domu na nie nie woła: bądźcie grzeczne, umyćcie ręce i buziel... Stanowczo jest im lepiej na świecie”. Tymczasem Staś i Hania bardzo się mylą. „Zwierzęta też się muszą uczyć” wielu, wielu przedmiotów, a jeśli będą leniwe — grozić im to może nietylko złym stopniem, ale wprost utratą życia. Staś i Hania przekonają się o tem w zupełności, gdy dzisiaj (19.10) o godz. 16-ej posłuchają na ten temat ciekawej bardzo pogawędki. A ponieważ program śródowy radio poświęciło dla młodych miłośników przyrody, wspomnianą pogawędkę uzupełni śliczna legenda o „dzięciołku”, którą opowie sympatyczny wujaszek Jaś.

W sobotę (22.10) — słuchowisko p. t. „Babie lato” — a w niedzielę (23.10) oprócz ciekawych „Nowin ze świata”, opowiadanie dla starszych dzieci p. t. „Ciemny pokój”. Tytuł tajemniczy, nieprawdaż?... A treść — bardzo zajmująca. Radzę posłuchać.

Kto z Was lubi muzykę — niech we czwartek (20.10) o godz. 12.35 posłucha koncertu dla młodzieży z Warszawy.

„GAPUS” i „PAWLUS” — ubrania podobne, jak w obrazku „Zuchy”.

„Tańcowała Rzepa z Makiem”... RZEPA pękata, w brunatnej spódnicy szerokiej (z bibuły karb.), w zielonej chustce na głowie. MAK — w czapce w kształcie makówki, (z bib. karb.). Ubranie — dobrzeby było, aby mogło być zielone, w braku takiego — szare, albo zielono-szare (barwa żołnierskich ubrań). PASTERNAK — chudy, szare ubranie, pęk zielonej naci u czapki. PIETRUSZKA — też chuda, w obcisłej białoszarej sukni, suta korona z liści strzępiatych na głowie (liście z bibułki). Gruba CEBULA — w wydętej potrójnej spódnicy brązowo-pomarańczowej; w żółtym gorsecie. Jasne włosy zaczesane w górę, splecione w sterczący zabawnie warkocz.

Do obrazka „Znalezione” dzieci mogą być ubrane w stroje wiejskie, używane w danej okolicy. A mogą też być stroje krakowskie lub łowickie. W razie, gdyby nie można było zgromadzić odpowiednich wiejskich strojów, można ostatecznie dać jakieś pół wiejskie, pół miejskie. Mogą być dla dziewczynek kwieciste sukienki, chusteczki barwne na głowach, chłopcy w spodenkach krótkich, w koszulach z paskami, bosy.

„Wróżba” — KAZIA w zwykłej sukience szkolnej, w czarnym fartuszk. NAUCZYCIELKA — miejska, skromna suknia. CYGANKA — dziewczynka o czarnych włosach i oczach. Spódnica jaskrawa, może być kwiecista, bardzo fałdzista. Kaftan luźny innej barwy, szal spuszczonej z ramion, chustka czerwona na głowie, na szyi korale i „cekiny”, pieniążki złote, które można wyciąć z kartonu, oklejonego z obu stron złotym papierem (wielkość pięciogroszówek). Takimi pieniążkami można też obszyć brzeg chusteczki na głowie.

„Pan Księżyc”. PAN ubranie zwykle, dowolne. KSIĘŻYC — długa szara, lub zielonkawa suknia, poza głową — duży, wycięty ze złotego papieru na tekturze — księżyc na nowiu. Wysoka, złota laska w rękę. MAZUR — kapota granatowa, z czerwonymi wylogami i mankietami; pas czerwony; czapka granatowa, rogata z barankiem; buty długie, spodnie w pasy białe z niebieskim. Strój MAZURKI — podobna sukmana. „OBEREK”. Para Łowiczan, lub też para Krakowiaków, a mogą też być ubiory tej okolicy, w której się widowisko odbywa.

M. Gerson-Dąbrowska.



WARUNKI PRENUMERATY NA ROK SZKOLNY 1932/33.

	Miesięcznie	Kwartalnie	Rocznie	Nr. poj.
„Płomyk”	1 zł. 50 gr.	4 zł. 50 gr.	14 zł.	40 gr.
„Płomyczek”	1 zł. 20 gr.	3 zł. 50 gr.	11 zł.	30 gr.
„Płomyk” z „Płomyczkiem”	2 zł. 30 gr.	6 zł. 50 gr.	21 zł.	60 gr.

Ceny podane są wraz z kosztami przesyłki.

Adres redakcji i administracji: Warszawa, Wybrzeże Kościuszkowskie Nr. 35 (wejście od ul. Dobrej Nr. 6).

Dla prenumeratorów warszawskich biuro administracji ul. Świętokrzyska Nr. 18. Nr. telefonu administracji 322-18, redakcji 538-26. Konto czekowe P. K. O. 6880.

Redaktorka przyjmuje od g. 1 do 3, prócz wtorków i sobót.

Administracja przy ul. Świętokrzyskiej otwarta codziennie od godziny 9-ej rano do godziny 7-ej wiecz., na Wybrzeżu Kościuszkowskim od 9-ej rano do 2-ej pp.

Wydawca: w imieniu Związku Nauczycielstwa Polskiego — JÓZEF WŁODARSKI.
Redaktorka — HELENA RADWANOWA.

Zakłady Graficzne „NASZA DRUKARNIA”, Warszawa, Sienna 15.



Wiatrak